Nr. 2. Lwów, Sobota dnia 20. Października 1894. Rok I.

Prenumerata:
we Lwowie:
kwartalnie . . . 90 ct.
Na prowincyi:
kwartalnie . . 1 zł. — „
Cena pojedynczego Numeru 15 ct.
Adres redakcyi i administracyi ul. Ossolińskich 15.

HUMOR

Ogłoszenia:
Od 1-go wiersza drobnym drukiem (petitem) 10 ct.
Nadesłane: od 1-go wiersza (petitem) 30 ct.
Rękopisma nie zwraca się.
Przesyłki pieniężne adresowné należy: St. Hopfen Lwów, Ossolińskich 15.

czasopismo humorystyczne illustrowane

Wychodzi 5. i 20. każdego miesiąca.

Na polowaniu.



— Chłopcze, nie widziałeś tu jakiej zwierzyny?
— Widziałem.
— A gdzie?
— We chlewku u matuli, bo inną to panicze wsyćko wybili.

Wrażenia z Wystawy.

(Opowiadanie Maćka Druzgały).

(Dokończenie).

Ale na cem jo to stanoł? — A no. na tych pawikach. Lataliśwa tak po tej wystawie bez caluśki dzien. a było tyle oglądać, ze cłek piąte bez dziesiąte nie widzioł. Jes ci tam i kościół, i wiezo z dzwonami, i zogród porę, i cało pasieka, i krzyz przy drodze, co przy nim dziod gro na lirze, i djobli wiedzą co. Cłek się ułaził, ze nóg nie cuł pod sobą. Jesce jo był na tyle *prześcipny* cok se wziął ze sobą do torby na tę wystawę kawołek placka, i zajodołek se go po drodze: ale wójt z Symoniokiem bez zodnego *futraziu*, jak się tak przelecieli po tych pawikach, a nawoniali róznych zapachów od *nasturcyj*, (bo tam — trza wom wiedzieć — we Lwowie, to nase osteryje i garkuchnie, to sie nazywają *nasturcyje*), to się im tak z pasęki śliniło jak psom, a przysiązny to syćkie okrusyny z kieseni u swojej sukmany tak powyzbirowoł, ze choćbyś i dukota doł, tobyś zodnej więcej u niego nie upatrzuł. — Jak się słońce dobrze pochyliło, tak ten pon, co nos po wystawie oprowodzoł, mioł znowu do nos przedmowe jesce pieknijszą jak za pirsą razą, a potem całą kupę chłopstwa zaprowadziuł do jednej nasturcyi. Naski wójt jak zwąchoł pismo nosem ze tu będzie futraź, tak zaroz weselej pocął na świat patsyć, i *rypnuł* nawet podziękowanie imieniem chłopstwa do tego pana, co mioł przedmowe. Potem zakurzyliśwa se fajki, i cekaliśwa pocęstunku. Najprzódy zacyni nom przed nos stawiać talerze, łyski, *wigielce*, noze, jakieś łoktuski [1]), i pątycki do dłubanio w gębie, i sól, i pieprz, i oliwe, ale jedzenia nijakiego. Siedzieliśwa tak jak na mękach dębre pół godziny, a Symoniok bez ten cas ledwie z głodu nie *zemgioł*. Nareście przynieśli nom na talerzykach po *kapinie* rosołu, potem znowu po kawołecku *misa*, a nareście po kiełbasce. Cłek by wilka zjod, a tu cłowiekowi taką strawą tylko zołądek trochę podraźnili. — Ale co było robić? kiej po pańsku zyć, to po pańsku. Jageśwa te strowe z Panem Jezusem zjedli, tak nos znowu odprowadzili na nasą kwatyrę, gdzieśmy się dopiero nasemi plackami uczciwie pozywili, i pokładli spać.

Na drugi dzień znowu nos zaprowadzili na te wystawe. A jagze. — Kiej uzywać, to uzywać. A trza przyznać, ze ten dzień jakoś godniej z nami rozpoczęli, bo nos nojprzódy zaprowadzili do nasturcyi na ciepłe kiełbaski, i piwem nos tam pocęstowali. A jesce pierwy jo z moimi kamratami na kwatyrze wypiliśwa se po dwa z pieprzem, a dwa *przez* pieprzu, tak tez po tej *jurzynie* [2]) tak się nom na sercu zrobiło *kur śnie* ześwa się juz na tej wystawie tak culi pewni, jakby w domu. A naostatek zaprowadzili nos do takiego pawiku, co się nazywo »bitwa racławicko«.

Naprzódy kozali nom iść w ciemności bez taką jakąś dziurę, jakby pod ziemią. — A wójt do mnie i do Symonioka pado: »hej kmotry! trzymojcie się za *kiecki*, bo tu w tej *ciemrawie* jesce nos kto okradnie!« Słyseliśwa bowiem od wielu osób, ze w tym Lwowie strasno moc złodziejasków sie uwijo, i cycho tylko na ludzką krzywdę. Tak jo zaroz wraziuł jedną rękę do zanadrza, bom tam mioł obwinięte w szmacinę pieniądze, a drugą zakisnułem w kułak, i niechby mnie tam wtedy kto ino *tyrknuł*, to raju boskie! byłbyk go tam tak pomacoł między ślipia, zeby ani *zipnuł*. Ale zodnego psypodku dziękować Bogu tam nie mieliśwa. — A no z tej nory wyśliśmy dopiero po schodach na górę, i tam uźraliśwa ową bitwę.

Ho! ho! moiściewy! godali oni nom ta ze ta bitwa to malowano, ale jako zycie to nie prowda. Bo uwozcie se tylko moi ludkowie, żek psecie nie ślepy, ani nie w ciemię bity, i wiem co moze być, a co nie moze być. Otóz jest ci tam w tym pawiku tako chaupa jak je *kole* Krakowa budują, a psed nią lezy chłop na ziemi, a *posoka* sie z niego wali nieprzymierzając jakby z jakiego bydlęcia, a baba klęcy przed nim i krzycy zmiłowanio boskiego, tylko po cichu, bo naokoło poprzybijali kartecki »nie wolno głośno gadać«. — Jo się pytom tego pana, co nos po tym pawiku oprowadzoł, a kto tak tego chłopa zamalował? — a on mi pado, ze to Moskale psubraty te w zielonych kapotach tak mu dopukały. Mnie złość okrutecnie *wzina*. Widzę niedaleko siebie na ziemi podkólek od woza, tak, jak nie skocę ku temu podkólkowi! Chciołek psekrocyć taką zaporę, co była naokoło ty bitwy zrobiono, i złapać za ten podkólek, a *wyprać* nim Moskoli co sie zmieści, ale mnie zaroz jacyś panowie i kamraty złapali, i nie dali mi się ani rusyć, a tak mnie psy tem sarpaniu *poturbasili*, zem u guńki nowusieńkiej dokrzty oba rękowy poobrywoł. — Chcieli mnie koniecznie przekonać że ta chaupa, i ten chłop, i ta baba, i *syćko* naokoło ze to malowane. — Je cózwy sobaki myślicie, ze chłop juz taki ciemny, ze niczego nie pozno? — I wójtowi nagodolem psy tej okazyi tyle, ze mu az usy spuchły, i psysiąznego sklonem co się zmieściło, bo bestye zatracone nijak nie dały się przegodać, ino ciarachom uwiezyli. — O lo Boga! jaki ze tyz ten nas naród jesce ciemny!

Jageśwa wyśli z tej bitwy, takeśwa jesce pospacyrowali po wystawie, a psytrafiła mi się mało przygoda. — Idę jo kole jednego pawiku, i widzę ze w nim sprzedają *cygaruszy*. Wstępuję jo tyz do tego *ferlagu*, i godom: »dajcie mi tu packe *habryki* [3]) z cornym orłem!« — A te *gańdziary* [4]) powystawiali na mnie ocy jak na raroga. — »No! docie?! nie?« — pytom się, a oni na to »ze nie ma«. — »No, to dejcie z cerwonym orłem!« — I tego nie ma. — »No to dajcie *skrętke!*« — I tego nie ma. — »A coz jest?« — pytom sie, bo mnie na taką trafikę sewsko pasyjo wzina. — »Są papiruszy i cygary.« — »A *cienkie* są? — »Nie ma«. — A zęby wos *cociurności!* To moze na luteryją mozno u was postawić?« — A ci dopiero w smiech. O wy *świndrygi* jedne! coz wy się mocie z biednego góralicka natrząsać? To u nas w Myślinicach jest ferlag, a dostanę w nim co chcę. Jest tam i habryka, są i skrętki, i cygara, i papiruszy, a chcę stawić na luteryją, to mom Lwów i *Widzin!* — Sklonem ich tyz tam i zwymyśloł jak się patrzy, i wylozek z tej wystawy, bo mnie strasecnie złość zebrała.

Potem oprowodzali nos jesce po mieście, i po takiej górze, co się nazywo Wysoki Zomek, chociaz tam zomku zodnego nikaj nie widziołek.

A no, udoł nom się Lwów bardzo, i ludzie w nim grzecni, i dobrzy, i dlo cłeka przychylni, tylko traflkanty u nich pod psem, i zodnego porządku na ferlagach nie ma, tak samo jak i w tych ich nasturcyjach. Trza wam bowiem wiedzieć, że skoro nom się owsiane placki skońcyły, zacoł nom strasecnie głód doskwirać. Zaprowadzili nos więc do takiej nasturcyi, i moiściewy — nie uwiezylibyście — nie ma tam ani roz co do gęby wetkać. Nie dostanies w niej ani zuru, ani *spólki* [5]), ani *korpieli* [6]), ani kapusty, a co to jest *sapka* [7]), albo *sutka* [8]), to bestye świdrygoły ani nie wiedzą. — Nie było więc co dłużej w tym Lwowie popasać, bo jo bez zuru sie nie obejdę.

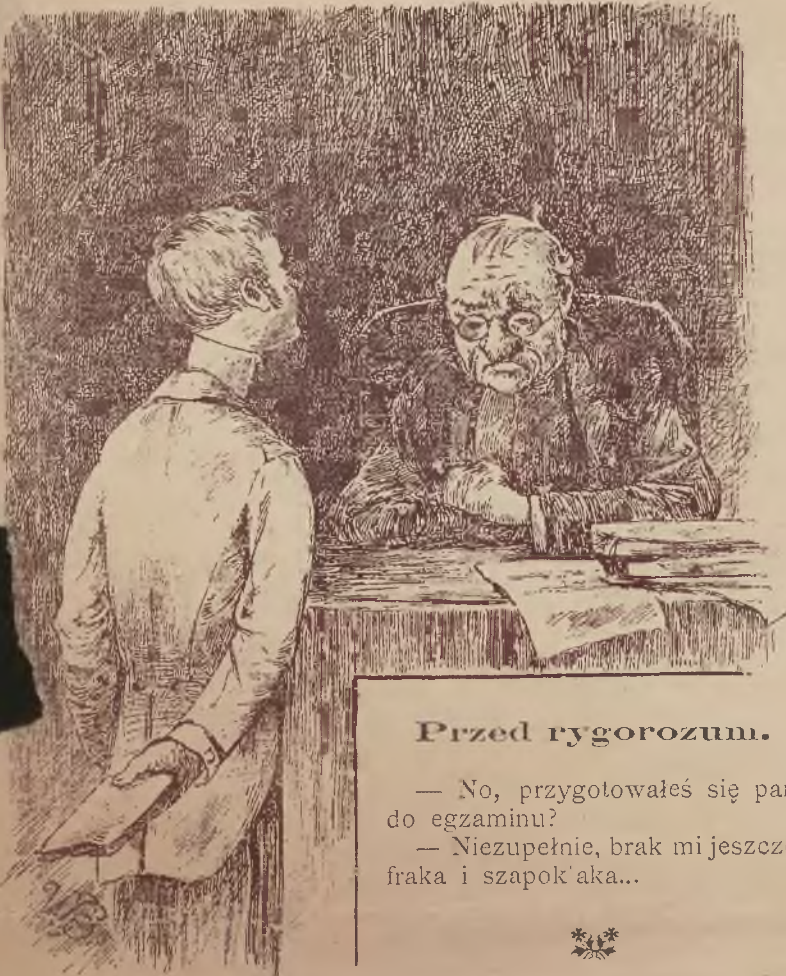
Tak ku wiecorowi zabraliśwa se nase manatki i psyjechaliśwa znowu ajzybonem napowrót do Krakowa. Z tamtąd pośliśwa na Podgórz i dopiero u psekupek roz za cały cas porządnieśwa się pokrzepili a potem puściliśwa się do domu.

No i *kwała* Panu Jezusowi i Matce Przenojświętsyj, jesteśwa znowu między wami.

---

1) Prześcieradła, 2) śniadaniu.

3) tytoniu, 4) fujara, mazgaj, 5) nazwisko obelżywe, 6) groch z kapustą, 7) brukiew, 8) potrawa sporządzona z mąki mełtej na żarnach i z wody.



Przed rygorozum.

— No, przygotowałeś się pan do egzaminu?

— Niezupełnie, brak mi jeszcze fraka i szapok'aka...

Ładne porównanie.

— Proszę cię kochany Emilku! nie chodź na pogrzeby swoich pacyentów.

— Przecież to tylko uprzejmość.

— Tak, ale złośliwi gotowi cię porównać do krawca który odnosi swoją robotę.

Pobratymiec.

In vino veritas.

Mówią że prawda zawsze w winie się ukrywa,
Ja twierdzę że przypowieść ta — nie jest prawdziwa;
Bo zkądby tam być mogła, gdy — rzeczy to znane —
Że wino dziś w całym świecie — tylko fałszowane.

Płonka.

ZGODZIŁA SIĘ.

— Mamusiu! gdzie mieszka bocian w zimie?

— W ciepłych krajach moja pieszczotko. A dlaczego się pytasz?

— Bo chciałam pisać do niego, by mi posłał ładnego, małego braciszka. Może by mi mama list do niego podyktowała.

— Lepiej poproś o to tatka.

de Cameron.

Z jesiennych dum.

Chociaż każe zwyczaj stary
Chwalić zawsze obce kraje,
Mnie nasz kraik ukochany
Najpiękniejszym się wydaje.

Gdzieś panuje wieczne lato,
Gaj pomarańcz lśni jak złoto,
U nas wieczne deszcze zato,
Przy latarniach lśni się błoto.

Brodząc w błocie jak wiek długi
Spędza życie człek wesoło,
Chce gdzie spocząć — na usługi
Rój szyneczków stoi w koło.

Toż kto wstąpi, gdy hołduje
Starodawnej przodków cnocie,
Wśród zabawy ani czuje —
Jak wygodnie lęgnie w błocie.

Leżącemu tak do ranka,
Wiatr rozgrzaną krew ostudza,
Deszcz skroń muska jak kochanka,
I do marzeń go pobudza...

Aż jak ryba zdrów powstaje,
Wraz z nim nić humoru złota..
Wię chcąc piekne obce kraje,
Górą zawsze nasze błota.

Ze świata tonów.

Na wieczorze u państwa X. miała się popisywać młoda śpiewaczka. W chwili, gdy miała wyjść na estradę, spostrzega że jakiś stary, otyły jegomość, siedzi na jej nutach, nie wie więc, co ma ze sobą zrobić. Gospodarz, który jej zakłopotanie zauważył, załatwił sprawę dość gładko, gdyż zbliżywszy się do owego jegomościa, zwrócił jego uwagę słowy:

— Panie Nadymalski! te nuty nie są dla *instrumentów dętych* przeznaczone.

de Cameron.

Nieomylny znak.

— Za co Jantoniego do kozy zabrali?
— Coś wedle polityki, pewno uważali
Jak trzymał bombę — piwa, taj rzecz oczywista
Po tym znaku poznali, co on anarchista!

Sęczek.

SŁUSZNIE.

(Myśl starego męża mającego młodą żonę).

Moje całe nieszczęście jest to, żem wybrał żonę nie wedle swego gustu, ale wedle gustu wielu mych przyjacieli.

de Cameron.

Pojedynek.

Przez Bronisława Brailera.

Raz widziałem na ulicy,
Jak się bili dwaj złośnicy.
Proszę słuchać... Urwis bosy
Za brunatne chwyta włosy
Po pod domem znajomego.
I ni z tego, ni z owego,
Ciągnie go za nos.
»Twoje dzisiaj urodziny
»Pozwól, że ci sprawię chrzciny,
»Taki to nasz los:
»Kto się rodzi, tego chrzczą
»I nowiutkiem mianem zwą.
»A więc w imię ojca, syna...
»Słuchaj, bo się chrzest zaczyna;
»Więc nazywam cię gałganem,
»Durniem, osłem i bałwanem!"

W mgnieniu oka przychwycony
Rzucił się jak oparzony,
Jak nie skoczy.. w jednej chwili
Jak koguty się już bili;
I z dwóch ludzi jedna bryła
Ciągle niżej się toczyła,
Aż pod bramy próg.
Jeden ściska, drugi dusi,
Jeden bije, drugi musi...
Wroga gniótł więc wróg.
Lecz ta walka krótko trwa;
Mądry rycerz sposób zna:
Napadnięty w kułak spluwa,
Wnet z uścisków się wysuwa,
Gdyby z kleszczów lub nożyczek
I.... siarczysty rznie policzek.

»Hola bracie!« — woła drugi —
»Miałem kawał gdzieś maczugi,
»Gdy ją schwycę w swoje dłonie,
»Pękną ci cielęce skronie!«
Staje prosto, brwiami chmurzy
I powiada: »Krew się burzy,
»Spróbuj jeszcze raz!«
Franek, który na to czeka,
Zaproszenia się nie zrzeka,
Stoi niby głaz.
Myśli w duchu: »Skoro sam
»Ładnie prosi, no to dam.«
Trzasnął go też z taką siłą,
Że mu w zębach zadzwoniło,
A jednakże zuch, co wzywa,
Do bójki się nie porywa.

Znów kułaki ściska skrycie
»Ano teraz — śmierć lub życie,
»Jeden trupem tu zostanie...
»Tak — tak, mój kochany panie,
»Lecz nim zbrodnia splami duszę,
»Jeszcze raz spróbować muszę:
»Teraz daj mi w twarz!«
Mruży oczy... Franek śmiało
Palnął zucha, co sił stało...
»Chciałeś, no to masz!«
Skamieniałem... Teraz już
Drugi pewnie porwie nóż...
Lecz, o dziwo; cóż powiecie?
Cicho powiem wam w sekrecie:
Groźny rycerz z twarzą w dłoni
Jak dał susa, znikł w pogoni.

W restauracyi.

— Poczem pan rozróżnia, młode kury od starych?
— Po zębach.
— Kury przecież zębów nie mają.
— Ja też nie mówię o kurzych zębach, tylko o swoich.

Pobratymiec.

Nauka nie poszła w las.

Ignaś lubił zająca, lubił niesłychanie,
Wybrał się zatem w święto raz na polowanie;
Polował z wielkim strachem w lesie pokryjomu,
Zająca nie zastrzelił; powrócił do domu.
W drugie święto inaczej postąpił Ignacy,
Jadł on smacznie zająca bez strachu i pracy.
Obstalował zająca w garkuchni pod słońcem,
I nie wąchając prochu, spotkał się z zającem.
Nauka zaś wypływa ztąd myśliwi młodzi,
Ten kto strzelać nie umie, niech z strzelbą nie chodzi.

A. Bar.

A propos egzaminu.

Pan X. No, jak panu poszło z początkiem egzaminu?

Kandydat medycyny. Nie szło świetnie, ale przynajmniej na pierwsze trzy pytania odpowiedziałem gładko.

Pan X. Tak? cóżto były za pytania?

Kandydat medycyny. Profesor pytał się mnie o imię, nazwisko i miejsce urodzenia.

de Cameron.

A propos murzynki.

Małe bobo idzie z guwernantką przez planty, gdzie widzi siedzącą na ławce murzynkę, dającą malcowi pierś do ssania.

Bobo nie umie sobie tego wytłumaczyć, pyta się więc guwernantki:

— Panno Sydonio! to małe dziecko pija już całną kawę?....

de Cameron.



— Hinaus! ty baba z tą krzycząca bęben, bo ci go lepiej jak „jednoroczny“ będę wyczwiczyć!
— O dyć i on je jednoroczny!

Dobra rada.

Przez Bronisława Braitera.

Pytał się raz biedak pana,
Jak przyjść do pieniędzy;
„Jestem ciągle w nędzy.
„Do roboty wstaję z rana,
„Jem zaledwie raz w południe,
„Żona z głodu ginie, chudnie,
„Dzieci płaczą... a tu chleba
„Dzisiaj trzeba, jutro trzeba.
„Raz mówiło parę osób,
„Że i na to jest gdzieś sposób?“

„Tak — to prawda, sposób dziwny,
„Jednak, przyjacielu,
„Rada nie ma celu,
„Boś za szczery, za naiwny.
„Lecz spróbuję. Znasz zasady
„Uczciwości, słuchaj rady.
„Popatrz dobrze, mój sąsiedzie,
„Gdzie ku cnocie droga wiedzie.
„Gdy ją znajdziesz, bez frasunku
„Całkiem w innym pędź kierunku.
„Gdy tak zrobisz śmiało, żwawo,
„Życie będzie ci zabawą.“

Nieroztropne dziewczę.

Powiedział mi chłopiec jeden,
Żem jutrzenką jasną,
Że przy blasku moich ocząt,
Gwiazdy w niebie gasną.

Drugi znowu zwie mię różą,
Trzeci ideałem,
Czwarty bóstwem, piąty, szósty,
Swem marzeniem białem.

Już mi zbrzydły te dusery!
Nie chcę by mię czczono;
Niech mię który nazwie dyabłem
Byle tylko... ż o n ą.

W. Sk.

Socyalista.

Podlotek: Tato! co to znaczy socyalista?
Ojciec: Socyalista to taki człowiek, coby chciał zaraz wszytsko mieć, co widzi.
Ona: (do siebie po cichu) To mój Alfred jest także socyalistą.

Pobratymiec.

Autentyczne.

Do wozu kolei elektrycznej w drodze na wystawę wchodzi w podeszłym już wieku dama, lecz, jak to zwykle bywało, nie znajduje miejsca do siedzenia. W tem podnosi się z ławeczki — jakiś jegomość — i — (choć prawdę mówiąc, dosyć leniwie) odstępuje przybyłej miejsca.
Dama nadzwyczaj zdziwiona: »Więc pan nie tutejszy?...«

Br. Br.

Z fizyki.

Wielkie ciała przyciągają do siebie ciała małe. Dlatego bułki są coraz mniejsze, a piekarze coraz grubsi.

Pobratymiec.

Słuszny powód.

— Słyszał pan, kawa i herbata od 1. listopada znacznie podrożeją...
— Sacré non de Dieu! to moje długi po kawiarniach znowu pójdą w górę...

de Cameron.

To przejdzie.

Córka. (płacząc) Dziś skończyłam 30 lat, i nic.
Ojciec. Bądź spokojną moje dziecko; *to także przejdzie.*

Pobratymiec.

Tragi-miłosna historya

w trzech obrazach.



Rycerz pewien zawołany, kochaneczkę miał
Z ich romansów księżyc-świadek, po nocach się śmiał;



Ale romans ten nieszczęsny spotkał straszny los
Bo mu świadek-rywal zadał — ciężki... krwawy cios...



Raz wyskoczył z za komina, krzyknął: dziś wasz zgon!
I wytoczył serce z piersi, kochankowi — on!...

To dziwne.

Przez Bronisława Braitera.

Młodziutka, powabna,
Śliczniutka i zgrabna,
Niewinna, jak jagnię, dziewczyna,
Raz składa rączęta,
Przymyka oczęta
I babce tak mówić zaczyna:

„Ach babciu kochana,
Z lito ci tyś znana,
Serduszko jak anioł masz złote;
Posłuchaj cierpliwie
I poradź szczęśliwie,
Bo płakać mam z żalu ochotę.

Gdym biegła do domu,
Lecz nie mów nikomu
Przedwczoraj po lekcyi pisania,
Ktoś obcy mię trąca...
Spoglądam niechcąca
A ten się śmieje i kłania.

Uciekam, on woła,
Ja patrzę... dokoła
Tak ciemno i cicho i głucho.
Żem oczy do Boga
Zwróciła nieboga
I modlić zaczęłam się z skruchą.

Uciekłam, nie przeczę,
Lecz siły człowiecze
Wyczerpać się mogą przed czasem,
A potem... o Boże,
Co z tego być może?
Ploteczki... przyznajmy nawiasem.

Staruszka nierada
Tak wnuczce powiada
I ręce podnosi swe sztywne:
„A czemuż ja chodzę
Wśród panów po drodze
I nikt się nie czepia?... To dziwne!"

U adwokata.

Klient. O lo[1]) Boga! ładnie mnie pon hadukat *wystrychnął*![2]) Tyle mnie to grosiwa kostowało, a teroz przysed wyrok z trzeciej *anstancyi*[3]) na przegraną.

Adwokat. Cóż za wymagalski z ciebie człowieku, Nie dosyć ci, żeś proces w dwóch instancyach wygrał?!...

1) dla, 2) wykierował, 3) instancyi.

Nic dziwnego.

Licząc sławnych spiewaków, zawsze mi się zdaje
Że najwięcej tenorów, Galicya wydaje.
— Nic dziwnego mój drogi, bo fakt to sprawdzony —
Że u nas każdy cienko śpiewać nauczony.

Małe pomyłki druku

zebrał

Pobratymiec.

— W tej chwili przypomniała sobie, że poleciła słu-
[illegible]żącej pójść z przegranemi *b*utami[1]) do księgarni. —

— Ty się na *P*ustynię[2]) nie zapatruj!

— Małe *k*awki[3]) Saxlehnera, zażywane choćby i co-
dziennie, nie mogą nikomu zaszkodzić.

— Mam *M*arcelę[4]) do sprzedania.

— Wśród uroczystej ciszy, jaka zapanowała na sali,
Teofrant podniesionym głosem wniósł toast na po-
myślność pięknej p*o*ńczochy[5]) pani Orskiej..

— Kupię pow*r*óz[6]) mało używany na 3—4 osoby.

— Na Horodzieju wisiał *r*ak[7]) cokolwiek za duży.

— *W*ąsy[8]) panny Palmiry zrobiły niemiłe wrażenie na obecnych.

— *P*anny[9]), p*a*nie[10]), kana*r*ki[11]), *k*ozety[12]), naprawia
um[illegible]arkowanych cenach blacharz na Kopernika l. 9.

— Życie małej Loli wisiało na *wo*sku[13]).

— Żaby[14]) widziały co się w naszych sercach działo.

— Szklanka *s*iwa[15]), kochanka i faja, były wszystkiem
[illegible] Poraja.

— Z boku doleciał ją *b*yk[16]) jakiś długi, żałobny, jękliwy.

---

1) nutami. 2) Justynię 3) d[illegible]wki, 4) Parcelę, 5) pieszczochy, [illegible]) powóz, 7) frak, 8) Dąsy, 9) Wanny, 1[illegible]) parnie, 11) kanapki, [illegible]2) klozety, 13) włosku, 14) żeby, 14) piwa, 15) ryk.

Chce — nie chcę.

[illegible]akochał się pan Józef strasznie w pannie Zosi,
[illegible]ięknie zatem rodziców o jej rączkę prosi;
Rodzice mu ją dali, do drugiej niedzieli,
Prosi pięknie by sobie nazad Zosię... wzięli.

A. Bar.

Na lekcyi śpiewu.

Dyrygent. (trąc uszy) A, żeby to dunder świsnął! albo te dzieci mają takie nieczyste głosy, albo moje uszy są nieczyste.

Pobratymiec.

Niezwykłe zjawisko.

Choć rzeczą niemożliwą zda się niezawodnie,
Aby które małżeństwo żyło z sobą zgodnie,
Jam znał parę małżeńską, która zgodnie żyła,
Ale on był ślepym, ona — niemą była...

Płonka.

W SZKOLE WOJSKOWEJ.

Icek, co trzeba czynić gdy na nas uderzy
Nieprzyjaciel z liczniejszym oddziałem żołnierzy?
— Nu jak wun jest liczniejszy i raz da po strzale,
To wtedy nam już robić nic nie trzeba wcale.

Także dziennikarz.

Pan Jan sławny dziennikarz, obserwator wielki:
Gdy pisze to zagląda ciągle do butelki,
Skończy pisać od flaszki odejmuje usta,
Flaszki już całkiem puste i treść pisma pusta.
Wiele tam zecerowi do druku on nie da,
Artykuł niedorzeczy, on pijany jak — szweda!

A. Bar.

PRZYSZŁOŚĆ.

Ojciec. No i cóż ty nieponiu myślisz teraz z sobą zrobić?

Syn. Mam zamiar jechać do Ameryki.

Ojciec. A dalej?...

Syn. Czy to jeszcze nie dość daleko?...

Pobratymiec.

Spostrzeżenie astronomiczne.

Aura teraz nie stała —
Jak humor żony, kochanki —
Ciepło, mróz, i deszcz z słońcem,
Grzmot, piorun — same niespodzianki.

Pi-pi-pi.

Zaraz poznał.

— Popatrz się mój zięciu; to jest moja fotografia, jak byłam jeszcze panną.

— Ach! — to chyba *błyskawiczne zdjęcie.*

— Dlaczego?

— Bo mama na fotografii ma *usta zamknięte.*

Pobratymiec.

Ach gdyby...

Zkąd powracasz Emilko? — Byłam na Wystawie,
Dziś to jedyne miejsce do przechadzki prawie,
Nie jedna nawet męża tam sobie złapała...
Ach gdyby ta Wystawa u nas wiecznie trwała!

Płonka.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Stanisław Hopfen**. Z drukarni **Z. Golloba** we Lwowie.